Na każdej wystawie rzemiosła japońskiego (tym razem *Złota Japonia*) przeżywam zachwyt i wzruszenie precyzją, cierpliwością i miłością twórcy do przedmiotu. Bo jakże inaczej wytłumaczyć godziny mozolnej pracy nad detalem, żeby otrzymać (niemal) doskonały przedmiot, godziny bez pośpiechu, bo proces to proces i trwa tyle czasu, ile potrzebuje. Ile w tym kontemplacji, znajomości-poznania materii, w której się tworzy, bycia
hic et nunc,
taka mała wieczność, przedsionek nieba. Ale to tylko taka mała uwaga. To, co mnie zaskoczyło, to informacja, że potłuczone naczynia sklejano, a potem z tej rany, rysy na przedmiocie robiono ornament – a to z pomocą złotej (tak, złotej, a nie szlagmetalowej farbki), albo płatków złota cieniusieńkich jak mgła i równie delikatnych. W naszych antykwariatach też można kupić cenne (ale już wskutek pęknięcia mniej cenne) sklejone naczynia - mawia się o nich „destrukt”... Przypuszczam, że japoński rzemieślnik, ozdabiając poklejone naczynie nie postrzegał go w kategoriach destruktu, lecz uratowanego ulubionego naczynia, które jeszcze może nacieszyć oczy i posłużyć. Pan Bóg też tak działa. Z własnego przykładu mogę czerpać, że moje rany zamienia w ornament, coś przydatnego i jednocześnie coś pięknego.

Życzę nam, żebyśmy się stawali takimi coraz piękniejszymi naczyniami, z tymi płatkami złota, przydatnymi Boskiemu Garncarzowi i ludziom... i żebyśmy pomagali innym w klejeniu siebie i ozdabianiu płatkami złota. AMDG.

Zosia